



MARCIN
SZMANDRA

HARMIDEREK

ISBN: 978-83-7853-416-7



Ten utwór jest dostępny na licencji Creative Commons
Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Na tych samych warunkach
3.0 Unported License.

Wydanie drugie (poprawione)
2015

SPIS RZECZY

4

W autobusie noga i ja zbolały udręczeniem

10

Helmucie, Helmucie

16

Dziewczyna z pieńkiem

25

Trupiaszcze oczy i ster ze szprychami

35

Dym

61

Opowieść ministra z komputerową przysadką

W
AUTOBUSIE
NOGA I ZA
ZBOLAŁY
UDRĘCZENIEM

”**K**

iedy nie wiesz, jak zacząć, zacznij od pogody” – mawiają, śmieją się, mądrują, mózgownicą się chwala (że ją mają i że narządu używają). A ja zaczęłam inaczej, wbrew im, to jest wbrew tym mądrym, no wiecie. Autobus był żółty, przegubowy, do tego brudny, brzydki i oślizły (jeśli autobusy w ogóle mogą być oślizłe). Wsiadłem, zająłem miejsce, nie zdjąłem czapki, bo czapki nie miałem. To jest miałem, ale nie na głowie, tylko w torbie ją miałem, schowaną. I cieszyłem się, że miałem, bo jakby wiatr był, śnieg był, a co najgorsze wiatr ze śniegiem by był, to wtedy szczęście by jednocześnie było i radość wielka z czapki nie tylko do torby uprzednio włożonej, ale i – późniejszą razą – na głowie umocowanej. Ale ja nie o tym. Ja o autobusie. A dokładniej o tym, co w nim się działo. I tak – książkę otworzyłem, poprawiłem się, żeby wygodniej było. Krew do mózgu napłynęła, myśleć zacząłem intensywnie, literki przeskakiwały, mnożyły się wzajemnie, dzieliły na akapity, justowały. Nie można! Nie można, do jasnej i ciężkiej jak wół cholery, czytać tej książki w autobusie. Zgina cię, rzuca, ślizga i nie pozwoli oddychać. Na marne to wszystko: to usadawianie się, myśl o czapce, wytarcie rękawiczką pary z szyby, poprawianie włosów. Wszystko na marne, że powtórzę jeszcze raz, choć wiem, że to brzydko i niekulturalnie. Próbuje nie oddychać głęboko, nie pokazywać, że cierpię, zmuszam się do bycia tu, teraz, w tym motłochu i bandzie, bandzie i motłochu, ach! Oglądać nie ścierpię targowych mord, wyprasowanych kołnierzyków, siatek z materiału, prób dostania się do kasownika, przekleństw, pijaństw i drobnych, zakrętowych przeprosin.

Przystanek. Robi się luźniej, oddychać już mi lepiej, choć nie do końca. Spomiędzy ludzi zauważam nogę – chudą,

zgrabną, nie powiem, że powabną, bo rym taki źle brzmi, powiedziałbym tak po częstochowsku. Noga była inna, to jest, był autobus zwykły, byli ludzie zwykli i ta noga tam nie pasowała, jakby znalazła się tam przez przypadek, jak zgubiony puzzel, wołając do innych, zwykłych nóg: „popatrzcie na mnie, wy, zwykłe nogi, nigdy nie będziecie takie jak ja, popatrzcie tu, ja piękna jestem, ja zachwycam, wabię, popatrzcie wszystkie zbolełe giry”. Ale nogi głuche były, nie słyszały nogi pięknej. Nie umiały się odwrócić, zachwycić, zrozumieć i rozważyć.

Widać nie było wiele. Noga założona była na inną nogę, ach, co za stosunek, perwersja, i to na oczach innych, w zwykłym autobusie, w obecności innych nóg. Owinięta w getr była, w nogawkę jedną tego getra. Ta druga, która pozwoliła tej pierwszej opierać się o siebie, też w getr ubrana była i jakby dumna z tego, szczęśliwa sama w sobie. Patrzyłem się bezczelnie, gapilem, jak tylko można, w kierunku tego cuda, którego nikt poza mną w autobusie nie widział. Tylko mnie dane było zobaczyć, zrozumieć, poznać. Ale to zobaczenie, zrozumienie i poznanie odbywało się tylko w stosunku do samej nogi, a nie do postaci, która tym niemal pornograficznym organem operowała. Spytacie pewno: czemu pornograficznym, hę, czemu, czemu? A ja powiem wam, wytłumaczę to zjawisko najpokrętniej, to jest najprościej, jak tylko mogę. Jak wspominałem, właściciel nie miał zamiaru się ujawnić. Twarz skrywała się za ludźmi, za nudnymi i ohydnyimi mordami i sflaczałymi cielskami ludźmi uczestniczących w jeździe autobusem. Tak, tak, ciągle mówię o tym żółtym, brudnym i banalnym wehikule. Kontynuując, noga, pomimo iż częścią tylko była, miała czelność, bezwstyd i moralność pokazać się w takiej formie, w obcistej szmacie, z każdym mięśniem prawie na górze uwidocznionym, na



widoku, dokładnie tak żeby każda inna noga mogła zobaczyć, omdleć z tego pasjonującego widoku, umrzeć w sobie prawie z zachwytu niewypowiedzianego. Wzrok tkwił w niej, a ona tkwiła w tym wzroku właśnie i gnębiła gałkę, znaczy się sensor, a sensor gnębił mózg, mózg zaś pobudzał cały organizm, przyspieszał krążenie krwi, zwiększał oddech, mamił umysł i paraliżował członki. Ale nie to było najgorsze. To nie z tego płynęła ta cała perwersja, o której tu mającę bezsilnie. To siatka. Zwykła sklepowa reklamówka. Ona z siedzenia mnie prawie zrzuciła. Jak to możliwe? powiedzcie sami. Ta noga, dumna, niebanalna, wartościowa, oryginalna, nietuzinkowa, z charakterem na wierzchu niemal, pozwalała na rzeczy niewiarygodne, nie do pomyślenia wręcz. Mogła ona, nieprawdaż, opierać się o nogę drugą, tę wielkość wszyscy pojmujemy, ale siatka na teźże nodze? Na tym dziele sztuki, owocu natury? Nie, nie i jeszcze raz nie. Ja się buntuję, ja patrzeć na to nie mogę, ja okrzyk wznoszę w metafizyczne bezmiary bytu i ludzkiego pojęcia. Siatka opierająca się na nodze, normalny, zdrowy człowiek, usłyszawszy to, za głowę by się złapał, usiąść by musiał na chwilę, by najnormalniej wręcz oddech złapać na chwilę. Takie poniżenie na pierwszy rzut oka. Ale po chwili wzburzenia, kiedy emocje trochę opadły, a organizm znowu zaczął poprawnie funkcjonować, zrozumiałem, w czym tkwi jeszcze większa genialność tej nogi. Przez poniżenie, bezwstydnę, na oczach ludzi zwykłych, w obecności innych nóg, w autobusie żółtym i brudnym do tego, było tak naprawdę aktem czynu wielkości, heroizmu godnego największego tytana pozwolić takiej zwykłej siateczce z plastiku (aż strach pomyśleć) usadowić się na sobie, dać jej powód do bycia na górze, górować niemalże – to czyn istnie symboliczny, nie przeznaczony, oj nie, nie, dla zwykłych, nudnych i nic nierozumiejących ludzisz. Dać się tak wykorzystać, to zarazem udowodnić swą wielkość

przez publiczną egzaltację, negliż, niedbały, a jednocześnie w tej niedbałości ustosunkowany do siatki, perwersyjny i pornograficzny. Krew zmroziła mi się w żyłach. Opadłem z sił całkowicie. Co to za zgroza, co za akt, za dziwność i niemożliwość poniżenia i wielkości w jednym.

Nie wiedząc ciągle, do kogo noga ta należy, powróciłem do lektury. Lecz próbując się w nią zgłębić, odczuwałem ból niepatrzenia na nogę, nieprzypatrywania się jej, wielbienia i oddawania czci. Nadal nie było widać jej właściciela. Co chwila w tym tłumie ludzi wyrastał ktoś, zasłaniał. Raz to pani w kapeluszu, raz pan z torbą w ręce. Co za nienasycenie! Wreszcie nadchodzi ten moment. Tak! Tak, tak, tak! Nikt nie stoi przede mną i nie zasłania. Widzę! Ale kiedy do tego doszło, ból wystąpił jeszcze większy, jakby diabeł zagrał mi na nosie. Ta noga, dumna i wspaniała, oparta o nogę drugą, gorszą względem niej, a na niej przez wielkość tej pierwszej wyróżniona siatka, należała nie do demona, kobiety strasznej w swojej piękności, ale do potwora o cechach zmarszczkami, zmarniałymi oczyma jak po nieprzespanej nocy i ustami jak haczyki. Gdzie ta perwersja, diabeł w dziwności ukryty? Powoli wstałem i opuściłem autobus, żółty i brudny, oraz ludzi i ich nogi. Niech same sobie na nosach grają!